

Na naszych oczach spełnia się i marzenie o, i dążenie do teatru zawodowego w Zakopanem. Stało się to za sprawą Andrzeja Dziuka i jego współtowarzyszy, którzy bez rozgłosu wkroczyli w kulturalne życie Tatr Polskich zyskując natychmiast aprobatę dość wybrednej widowni, która tutaj, czy ktoś chce czy nie chce, zawsze będzie miała swoje kaprysy, wynikające choćby z faktu, że duża część widzów to turyści i wczasowicze. Czy o nich myśli Dziuk?

Samo Zakopane — jego mieszkańcy — już się właściwie przyzwyczało do tej sceny przy Chramcówkach. Tam też w dawnym zakładzie tegoż imienia salę teatralną i kilka pomieszczeń przyległych artyści przystosowali do swoich pomysłów inscenizacyjnych, zys-

wi Najborowi i Piotrowi Samborowi. Realistyczny gest, układ scen, wszystko to w najlepszym stylu świadczy o sprawności artystycznej zespołu. Nie powiem, że mnie nie denerwuje brak porządných programów z wyznaczeniem ról, no, ale to może trochę później przyjdzie...

12 stycznia br. odbyła się premiera „Benefisu” — bardzo ciekawego monodramu poświęconego Irenie Solskiej, zbudowanego z listów, pamiętników, fragmentów sztuk, które stały się dla tej znakomitej polskiej aktorki fundamentem jej niezapomnianych kreacji. Autorką scenariusza i reżyserką przedstawienia była Julia Wernio, scenografię opracowała Elżbieta Wernio. W rozbebeszonym łożu, w ciasnej (tak to pokazała aktorka) izdebce przytulku

szone słowa wyznaczają rytm dawnych przyzwyczajęń. Artyści nie silą się na zbyt poprawne wykonanie partytury, często piosenkę raczej interpretują środkami aktorskimi niż muzycznymi i wtedy dwaj instrumentalisci spełniają swoją główną rolę...

Na koniec zostawiłem sobie i naszym Czytelnikom ostatnią premierę z grudnia 1985 roku. Mówię o sztuce Pedra Calderona de la Barca „Życie jest snem” w imitacji Jarosława Marka Rymkiewicza. Reżyserował i opracował scenograficznie znowu Andrzej Dziuk, muzyka Gaspara Sanza, choreografia Lecha Wolczyka. W spektaklu tym zakopiańscy aktorzy dali dowód dojrzałości artystycznej. Przedstawienie jest pomyślane bardzo ciekawie, Dziuk rozciął salę tak, że widzowie znajdują się pod dłuższymi ścianami. Z lewej i z prawej strony mają wyczenie i palac, salę tronową. Przed sobą — główną, podłużną scenę, po której na początku przechadza się oswojony... kogut. „Życie jest snem” zrealizowane

Zakopane ma swój teatr

kali pomoc w przebudowie ze strony miejscowych władz. Zachodzę w głowę, w jaki sposób się to wszystko stało? Tyle lat piszemy o konieczności stałego teatru w Zakopanem; pomysły i plany rozbiły się o brak sal, pieniędzy, nawet chęci ostatecznych rozwiązań. Natomiast grupa absolwentów Wydziału Aktorskiego i Wydziału Reżyserii Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solkiego w Krakowie nie czekając na uchwały po prostu uderzyła w żądną sztuki publiczność zakopiańską. 9 sierpnia 1984 r. rozpoczęła pracę „Pragmatystami” Stanisława Ignacego Witkiewicza. Przedstawienia tego nie oglądałem. Trafiałem na liczącą już rok egzystencji sceniczną „Autoparodię” Witkacego, która miała swoją premierę 24 lutego ub. r. A jak się stało — opowiem...

„Autoparodia” nosi w podtytułach następujące określenie „nietmacy, góralsko-ceperski skecz na podstawie „Negatywu szklcu”, „Romansu schizofrenika”, „Redemptorów” oraz wierszy zakopiańczykom (prawdziwym?) poświęconych”. Powiem szczerze, że bałem się udziwnień wynikających ze złej najczęściej przez teatry polskie rozumianej czystej formy. Pociąga to za sobą wariackie udziwnianie kostiumów, rwanie tekstu, przez wymowę tyleż bełkotliwą, co niewyraźną.

Autorem scenariusza i reżyserem tego widowiska jest Andrzej Dziuk. Wykształcony polonista i reżyser zderzył ekscentryczne pomysły Witkacego, wiążące się z życiem tzw. sfer wyższych i niższych, z rzeczywistością zakopiańską tak, jakby nie tu się nie zmieniło od lat. W związku z tym cały ten majdan spraw i osób opisanych dość dokładnie w pamiętnikach dawnych i nowych zyskał wymiar kapitalnych pokpiwań z hrabiowskich i inteligentkich koneksji Kapela góralska „Maśniaków” przypomina gdzie jesteśmy, zaś rozegranie kilku scen o absurdalnym wymiarze zbrodni, trucicielstwa bez kary, przynosi chlubi: Dorocie Ficoń, Karinie Krzywickiej-Dąbrowskiej, Piotrowi Dąbrowskiemu, Andrzejowi Jesionkowi, Krzysztofowi Łakomikowi, Krzysztofo-

miota się ona, wielka, podobno fascynująca, rudowłosa Irena Soliska — Marta Szmigielska. Rzucono tu artystkę na głębokie wody tak różnorodnych tekstów, o takiej skali napięcia lirycznego, dramatycznego, że widz jest zupełnie oszołomiony Szmigielska recytuje i gra „Moskwę” Młodożeńca, fragmenty z „Amora i Psyche” Żuławskiego, teksty Infantki z „Cyda”, pani Akne z „622 upadków Bunga” Witkacego, Harfiarki z „Wyzwolenia”, Żony z „Nie-Boskiej komedii”, Ofelii ze „Śmierci Ofelii” Wyspiańskiego, Dziwnej ze „Skarbu” Staffa. W czym jest lepsza? Czy w przytoczonych fragmentach, czy w listach pełnych żalu do świata, że przecież jeszcze może pracować, ośmiewać swym talentem słuchaczy a nie jest jej to dane. Szmigielska udziwniła ciężar owych bardzo różnych tekstów — Infantką była wręcz zniewalająca. Nie można też odmówić głębokiej wymowy scenom wyznań artystycznych, lirycznych. Młoda aktorka ma siłę ekspresji, potrafi z listu zrobić... tragedię. W pierwszej części przedstawienia bardziej podobna jest do wizerunku Solskiej, który znamy z wielu zdjęć. Później jakby odrywa ten za ciasny dla niej kostium, jest sobą. Jakiż dramat rozgrywa się w duszy wspaniałej artystki dogorywającej przez długie lata, jeszcze po wojnie, do 1958 roku w aktorskim schronisku w Skolimowie...

Odwrotnie też sięgnęli artyści Teatru im. Stanisława Ignacego Witkiewicza po teksty Antoniego Słonimskiego i Juliana Tuwima, po muzykę międzywojennego XX-lecia, aby w reżyserii Andrzeja Dziuka i z jego scenariuszem dać „Dziurę” w oparach absurdu wykuta (premiery 7 lipca 1985). Na pianinie gra Jerzy Chruściński, na skrzypcach Stanisław Lubowicz. Ten przegląd ma wdzięk młodości — a to dużo. Układ tańców, gest sceniczny, wszystko w normie owych absurdów, gdzie napu-

zostało — moim zdaniem — z zupełnie nieoczekiwanym rozmachem, przy utrzymaniu realistycznej konwencji gry. I o dziwo, w ten sposób łatwiej docieramy do historyzoficznych uogólnień tego dramatu, w którym okrutny król więzi syna. Cała ta zawierucha dziejowa, która dzieje się jakby na przekór prawom historii, to rozcięcie między światem realnym i urojonym tak gruntownie wypełnione właśnie realistyczną grą aktorów — też to prawdziwy rarytas reżyserski. Na pierwszym miejscu postawić należy tutaj robotę aktorską Piotra Dąbrowskiego w roli białza Clarina. Nic z pozy, a jednak poza, nic z płaczliwosci, a jednak płacz, nic z markowanego lęku, a jednak lęk. Wspaniała rola! Nie ustępuje jej wiele Krzysztof Najbor w roli Segismunda, który gra tchórza i słabusa, rozdygotanego psychicznie histeryka jednak chytrego... Para Rosaura-Estrella zyskały w Dorocie Ficoń i Karinie Krzywickiej czułe interpretatorki. Podobał mi się również Astolfo Andrzeja Jesionka dla niekłamane go rozmachu, Basilio Krzysztofa Łakomika i Lech Wolczyk, który zagrał słuzącego, żołnierza i... lud. Dobry był Clotaldo w wykonaniu Piotra Sambora.

Zachwycony jestem sceną pojedynku, którego układ sięga mistrzowskich pomysłów przełomu wieków XIX i XX. Zadziwiające przedstawienie! Skąd się w tych młodych aktorach bierze taka siła interpretacji? Przypuszczam, że zawiera się ona również w jasno nakreślonym zadaniu, dość ściśle sformułowanym w programie teatru: Teatr im. Witkiewicza chce dawać świadectwo prawdziwego czasu. Chce być teatrem artystycznym, chce ocalić rację teatru jako sztuki. Chce coś znać, chce służyć drugiemu, żywemu, myślącemu, czującemu, przerażonemu człowiekowi.

OLGIERD JĘDRZEJCZYK